



CZŁOWIEK,
KTÓRY CZYNIŁ CUDA
HERBERT GEORGE WELLS

Herbert George Wells

Człowiek, który czynił cuda

Przełożył Antoni Lange

.....

Fundacja FESTINA LENTE

Nie jest pewne, czy ten dar był mu wrodzony. Co do mnie, to sędzę, że zjawił mu się niespodziewanie. Trzeba dodać, że do trzydziestego roku życia był on sceptykiem i nie wierzył w siły nadprzyrodzone. Tu muszę powiedzieć, że był to człowiek małego wzrostu, oczy miał czarne, świecące, czuprynę rudą, szczotkowatą, wąsy duże i piegi na twarzy. Nazywał się George McWhirter Fotheringay — nazwisko, które żadną miarą myśli o cudach nie podsuwa — i był urzędnikiem w firmie Gomshott. Nader wyrobiony w argumentacji słownej, właśnie w chwili, gdy dowodził niemożliwości cudów, otrzymał pierwszą wskazówkę o swej nadzwyczajnej mocy.

Szczególna ta rozprawa odbywała się w barze Pod Długim Smokiem, a Toddy Beamish zaprzeczał mu, bez ustanku powtarzając te same słowa: "To tylko *pańskie* zdanie" czym ostatecznie zaczął wyprowadzać z równowagi pana Fotheringaya.

Był tam nadto pewien cyklista, strasznie zakurzony, był oberżysta Cox i panna Maybridge, wielce czcigodna i korpulentna służąca baru.

Panna Maybridge myła szklanki, odwróciwszy się od pana Fhoteringaya; inni słuchali go, uśmiechając się

nad bezowocnością jego metody dowodzenia. Podniecany taktyką pana Beamish pan Fotheringay zdecydował się na niezwykle zwrot retoryczny.

— Uważaj, Beamish — rzekł — najpierw spróbuj zrozumieć, co to jest cud. Jest to coś przeciwnego prawom natury, coś co się spełnia przez natężoną siłę woli, coś co by się nie stało, gdybyś tego wyłącznie nie pragnął.

— To tylko *pańskie* zdanie — rzekł Beamish.

Pan Fotheringay wziął za świadka cyklistę, który dotąd milczał i uzyskał jego zgodę, po wahającym spojrzeniu w stronę pana Beamisha. Oberżysta nie chciał wypowiedzieć żadnej opinii pan Fotheringaya wracając do pana Beamisha, otrzymał od niego niespodziane i pobłażliwe ustępstwo na korzyść swego określenia cudu.

— Na przykład — mówił wielce podniecony pan Fotheringay — to byłby cud: ta lampa, w naturalnym biegu rzeczy, odwrócona do góry nogami, nie mogłaby się palić. Czy nie prawda, panie Beamish?

— To *pan mówi*, że nie mogłaby! — odparł Beamish.

— A pan? — zapytał Fotheringay. — Przecież nie będzie pan dowodził, że... tego... he...

— Nie — odpowiedział uparty Beamish — nie mogłaby.

— Bardzo dobrze — ciągnął Fotheringay — a więc ktoś przychodzi tu, jak na przykład ja, niby tak staje, nie przymierzając, na tym miejscu i mówi do tej lampy, jak to ja mógłbym zrobić, zbierając wszystkie siły mej woli:

„Przewróć się do góry nogami, nie upadając na ziemię i pal się dalej i...” Do diabła!...

Było to jakby w istocie wywołaniem diabła. Rzecz niemożliwa, niewiarogodna stała się widoczna dla wszystkich. Lampa odwrócona podstawą do góry, a szkłem na dół, zawisała w powietrzu i paliła się dalej spokojnie, mając płomień skierowany ku podłodze; a była ona dość ciężka i masywna, ta prozaiczna i ordynarna lampa z baru *Long Dragon*.

Pan Fotheringay stał z palcem wyciągniętym naprzód i zmarszczonymi brwiami, jak ktoś, co przewiduje jakiś chwilowy zgiełk. Cyklista, który siedział prawie pod lampą, zgiął się i uciekł poza kontuar. Wszyscy podskoczyli mniej albo więcej, a Miss Maybridge odwróciła się i krzyknęła z trwogi.

Przez jakieś trzy sekundy lampa tak wisiała. Naraz pan Fotheringay wydał słaby okrzyk:

— Nie mogę już dłużej trzymać tej lampy w powietrzu!

Cofnął się chwiejnie, a lampa odwrócona, naraz się zachwiała, spadła na brzeg kontuaru, skoczyła w bok, upadła na podłogę i zagasła. Szczęściem rezerwuar jej był metalowy, inaczej pękłby, nafta by się zapaliła i cały dom ogarnąłby pożar.

Pan Cox pierwszy przemówił, a jego uwaga, pozbawiona wszelkich bezużytecznych omówień, była taka, że pan Fotheringay jest głupiec. Ten zaś nie był w stanie rozważyć tego twierdzenia. Był w całym znaczeniu tego słowa zgnębiony tym, co się stało. Rozmowa, która potem nastąpiła, nic a nic nie wyjaśniła

sprawy, przynajmniej, co się tyczy Fotheringaya i ogół poszedł za panem Coxem, nie tylko jednogłośnie, ale z pewną zawziętością. Wszyscy oskarżali Fotheringaya o jakiś głupi figiel, dodając, że w sposób błazeński naruszył spokój i komfort porządnych obywateli.

Co do niego, to w jego umyśle huczał wicher niepokoju, i niespodziewany cudotwórca skłonny był przystać na ogólne zdanie o sobie, bezowocnie starając się oprzeć propozycji, jaką mu zrobiono, by poszedł sobie precz.

Wrócił do domu, czerwony i wzburzony, z podniesionym kołnierzem ubrania, z oczami płonącymi, z uszami gorejącymi.

Po drodze nerwowo śledził wszystkie dziesięć latarni gazowych, które spotkał na ulicy, i dopiero wówczas, gdy się znalazł sam w swym małym pokoiku przy ulicy Kościelnej — dopiero wówczas był w stanie zebrać poważnie wspomnienia całego wypadku i zapytać samego siebie: „Co się stało?”

Zdjął surdut i kamasze i siedział na brzegu łóżka, z rękami w kieszeni, powtarzając po raz siedemnasty słowa swej własnej obrony:

— Ale ja nie miałem zamiaru wyrzucić tej lampy!

Wówczas przypomniał sobie, że w określonej chwili, gdy wymawiał słowa swego rozkazu, mimo woli chciał tego, o czym mówił, i gdy widział lampę zawieszoną w powietrzu, czuł, że od niego zależało utrzymać ją w tej pozycji, choć nie mógł zrozumieć dlaczego.

Umysł jego nie był zbyt złożony; gdyby nie to, mógłby był na chwilę zastanowić się nad swym *chciał mimo woli*, ogarniając w ten sposób najbardziej oderwane pytania, dotyczące działania woli; ale z tego całego zjawiska zdawał sobie sprawę tylko w sposób bardzo mglisty i niewyraźny. Idąc przeto, jak należy przypuszczać, drogą niejasno-logiczną, chciał osiągnąć dowód przez doświadczenie.

Wyciągnął rezolutnie palec ku świecy, a zebrawszy wszystkie siły ducha, i wiedząc doskonale, że popełnia czyn głupi, zawołał:

— Podnieś się!

Ale po sekundzie jego wola omdlała. Jednak świeca się podniosła i przez oka mgnienie wisiała w powietrzu, a gdy pan Fotheringay konwulsyjnie otworzył usta, upadła z hałasem na stolik nocny, pozostawiając go w zupełnej ciemności, prócz nikłej czerwoności knota.

Chwilę pan Fotheringay siedział zupełnie nieruchomy.

— Ostatecznie, stało się — rzekł — ale jak to wytłumaczyć, nie wiem.

Westchnął i zaczął szukać w kieszeni zapalek. Nie znalazł, zatem wstał i po omacku szukał ich na stoliku.

— Chciałbym zapalić tę świecę — pomyślał — ale nie mam zapalki.

Szukał w surducie, ale i tam nie znalazł; wtedy mu przyszło do głowy, że cuda możliwe są i z zapalkami. Wyciągnął rękę i marszcząc brwi w ciemności, rozkazał:

— Niechaj zapalka wpadnie mi do ręki!

Naraz uczył jakiś lekki przedmiot, dotykający jego dłoni, i palce zamknęły się nad zapalką.

Na próżno jednak starał się zapalić ją, przekonał się, że była to zapalka szwedzka. Rzucił ją na stolik i pomyślał, że mógłby zażądać od razu zapalki z płomieniem. Objawivszy mocną chęć, ujrzał natychmiast, jak zapalka zapalała się na pokryciu toaletki.

Podniósł ją żywo, lecz zapalka zgasła. Świadomość jego mocy rosła i po omacku umieściwszy świecę w lichtarzu, rzekł.

— Dalej, zapal się, świeco!

Świeca natychmiast zajaśniała. Cudotwórca podszedł do toaletki i ujrzał na jej pokryciu dziurkę wypaloną, a koło niej maleńki dymek. Chwilowo oczy jego przechodziły od dymku do płomienia, przy czym spojrzawszy w lustro, zobaczył w nim swój własny obraz.

— Cóż ty myślisz o tych cudach? — rzekł, zwracając się do swego własnego odbicia.

Następne jego rozmyślenia były w rodzaju bardzo poważnym, lecz pogmatwane. O ile mógł zdać sobie sprawę, była to rzecz zależna bezwzględnie od czystej woli. Natura jego dotychczasowych doświadczeń mało go skłaniała do robienia nowych, przynajmniej póki ich nie zbadał powtórnie. Jednakże wzrokiem podniósł arkusz papieru, ubarwił szklanek wody na różowo, a potem na zielono; stworzył ślimaka, którego niemniej cudownie unicestwił, i zrobił sobie podarunek z niemniej cudownej szczoteczki do zębów.

W połowie nocy zaczął się domyślać, że jego siła musi mieć cechy szczególnie rzadkie i zajmujące, o czym już miał niejasne pojęcie, lecz żadnej pewności zupełnej. Przerazenie i trwoga, jakie w nim się obudziły pod wpływem pierwszych odkryć, osłabły teraz wobec dumy, że to iście osobliwa potęga, i wobec mglistych przeczuć jej użyteczności. Słyszał, kiedy wybiła pierwsza godzina na wieży kościelnej, a ponieważ mu nie przyszło do głowy, że jego zajęcia codzienne mogły być również cudownie wykonane, rozbierał się dalej, aby już bez zwłoki znaleźć się w łóżku. Gdy zdejmował koszulę, błysła mu naraz świetna myśl.

— Chcę być w łóżku! — rzekł, i był w łóżku. — Rozebrany! — dodał, a czując, że prześcieradło jest zimne, zawołał jeszcze — w koszuli nocnej, ale w pięknej koszuli nocnej z najlepszej flaneli! Ach! — mówił z nadzwyczajną rozkoszą. — A teraz niechaj usnę należycie!

Obudził się o zwykłej godzinie i był zamyślony przez całe śniadanie, pytając samego siebie, czy przypadkiem jego doświadczenia nie były po prostu sennym widziadłem. W końcu postanowił robić przezorne doświadczenia. Dostał trzy jajka na śniadanie: dwa przyniosła mu gospodyni, dobre zapewne, lecz nie pierwszej świeżości, a trzecie, doskonałe jajo gęsie, zostało świeżo zniesione, ugotowane i na stół podane jego własną nadprzyrodzoną mocą.. Pośpiesznie ruszył do biura w stanie głębokiego podniecenia, lecz miarkowanego starannie, a przypomniał sobie o trzecim jajku dopiero wówczas,

gdy gospodyni wieczorem mówić mu zaczęła o skorupie.

Przez cały dzień nie mógł nic robić z przyczyny tej nowej i zdumiewającej potęgi, jaką w sobie znalazł, ale nie sprawiło mu to żadnej przykrości, gdyż w ciągu ostatnich dziesięciu minut w nadprzyrodzony sposób powetował czas stracony.

W miarę jak dzień się chylił ku zmierzchowi, stan jego ducha przelewał się z podziwu w egzaltację, chociaż dodać trzeba, że okoliczności wyjścia z baru *Long Dragon* nie były przyjemnym wspomnieniem, a pewna sfalszowana wersja o nich doszła do jego kolegów, co wywołało wśród nich żarciki.

Było widoczne, że przy podnoszeniu rzeczy kruchych trzeba więcej przezorności, ale poza tym dar jego, w miarę jak o nim rozmyślał, zapowiadał mu coraz więcej wrażeń. Zamierzał przede wszystkim powiększyć swoje dobra osobiste za pomocą skromnych aktów tworzenia. Wykreował więc parę wspaniałych brylantowych spinek do mankietów, ale unicestwił je natychmiast, widząc, że syn dyrektora wszedł do sali i właśnie idzie do jego biurka. Lękał się, by młody człowiek nie zapytał go, jaką drogą te spinki stały się jego własnością. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dla uprawiania tego daru trzeba było wiele ostrożności i czujności, ale, o ile sądzić można, nie były to przeszkody większe od trudności, jakie przezwyciężyć musiał na przykład przy nauce jazdy na rowerze, aby ją opanować dokładnie. Być może, że ta właśnie analogia, jak również wspomnienie przykrości doznanej w *Long*

Dragon, pociągnęły go po obiedzie na małą pustą uliczkę nieoświetloną lampami gazowymi, by tam w odosobnieniu powtórzyć niektóre cuda.

Brakowało zapewne jego próbom oryginalności, gdyż pomijając siłę chęci, pan Fotheringay nie był człowiekiem szczególnie niezwykłym. Przyszedł mu na pamięć cud łaski Mojżesza, ale wieczór był ciemny i mało sprzyjał oswajaniu wielkich cudownych węży. Wówczas przypomniał sobie historię Tannhäusera, którą czytał na drugiej stronie programu koncertów w filharmonii. Zdało mu się to osobliwie pociągające i nieszkodliwe. Zanurzył więc laskę w trawę u brzegu ścieżki i kazał jej zakwitnąć. Powietrze napełniło się natychmiast balsamicznym zapachem róż, a przy świetle zapalki na własne oczy zobaczył, że ten świetny cud rzeczywiście się spełnił. Radość z efektownego cudu rozproszył odgłos zbliżających się kroków. Przerażony, że jego siła może być zauważona, zawołał naraz do kwitnącej laski — „Idź sobie!” — co podług niego miało znaczyć: „Stań się na nowo zwykłą laską”. Laska cofnęła się ze znaczną szybkością — i natychmiast dał się słyszeć okrzyk gniewu i ostre słowa nadchodzącej osoby.

— Na kogoż to rzucasz kijem, durniu! — zawołał głos. — Obtłukłeś mi nogi!

— Żałuję bardzo, mój stary — zaczął pan Fotheringay, ale nie dokończył swego tłumaczenia, zobaczył bowiem zbliżającego się jednego z trzech agentów policji w Immering.

— Co pan mówi? — zapytał agent. — Ach, to pan, tak, to pan potłukł lampę pod *Long Dragon*.

— Nie mówię nic, nic a nic — bełkotał pan Fotheringay.

— Czemuż pan rzuca kijami w przechodzących? Co to znaczy? Czy nie wie pan, że to może sprawić ból?

Przez chwilę pan Fotheringay zastanawiał się, dlaczego to zrobił.

Milczenie jego zdawało się drażnić pana Wincha.

— Obraziłeś policję, młodzieńcze — oto, *coś* uczynił.

— Słuchaj, panie Winch — błagał Fotheringay, zmartwiony i zmieszany — bardzo żałuję. Sprawa jest taka, że...

— Że co?

Nie umiał nic wymyślić oprócz wyznania prawdy.

— Czyniłem cud...

Starał się wypowiedzieć te słowa niedbale; ale jakkolwiek się starał, nie udało mu się.

— Czynić cud!.. Nie gadaj pan głupstw. Robić cud! Ależ wszyscy wiedzą, że pan nie wierzy w cuda! Musi to być jeden z twoich głupich kawałów czarodziejskich, oto co jest!

Pan Fotheringay zrozumiał, że zdradził swoją drogocenną tajemnicę, że ją rzucił na cztery wiatry. Gwałtowny napad gniewu pobudził go do działania. Żywo i z wściekłością zwrócił się do agenta policji.

— Dość już mam tego, rozumiesz pan! Pokażę panu jeden z moich głupich kawałów czarnoksięskich, rozumiesz pan? Idź do diabła! Idź, co prędzej!

Agent znikł jak kamfora.

Tej nocy Fotheringay nie uczynił żadnego innego cudu i nie troszczył się o to, co się stało z jego kwitnącą laską. Wrócił zaraz do miasta, cichy i spokojny, i poszedł do swojego pokoju.

— Panie, to dar potężny — myślał — to dar nadzwyczaj potężny... Nie miałem zamiaru korzystać z niego w ten sposób, nie miałem istotnie... Ciekaw jestem, jak to może być tam w piekle?

Siadł na brzegu łóżka, by zdjąć kamasze. Nagle przyszła mu szczęśliwa myśl: przerzucił agenta policji do San Francisco — i już nie naruszając normalności zjawisk, rozsądnie położył się do łóżka. W nocy śnił mu się Winch rozgniewany.

Nazajutrz Fotheringay poznał dwie interesujące nowiny. Ktoś zasadził piękny krzak pnącej się róży pod murem domu pana Gomshott, a nadto przeszukano całą rzekę aż do młyna, na skutek przypuszczenia, że agent policji w niej utonął.

Przez cały ten dzień pan Fotheringay był roztargniony i zadumany; nie zrobił żadnego cudu, również jak i dnia następnego, wyjąwszy przesłanie odrobiny żywności dla Wincha. Robotę zaś swoją w biurze wykonał z najwyższą ścisłością, pomimo że w głowie huczały mu myśli aż do ogłuszenia. Wiele osób dostrzegło jego niezwykle roztargnienie i miękkość zachowania, co spowodowało liczne żarty. — On zaś najwięcej myślał o Winchu.

W niedzielę wieczorem poszedł do kościoła, gdzie — szczególna rzecz! — pan Maydig, duchowny, który

się interesował nieco nauką tajemną, miał kazanie „O zakusach niedozwolonych”.

Pan Fotheringay nie chodził zbyt regularnie do kościoła, ale jego system asertywnego sceptycyzmu, o którym już wspominaliśmy, był teraz wielce zachwiany. Treść kazania rzuciła nowe światło na jego świeże dary i nagle postanowił iść i rozmówić się po nabożeństwie z panem Maydigiem. Gdy się zdecydował, ze zdumieniem pytał siebie, dlaczego mu wcześniej nie przyszła ta myśl do głowy.

Pan Maydig, człowiek chudy i nerwowy, o długiej szyi i długich rękach, był mile wzruszony żądaniem rozmowy prywatnej ze strony młodzieńca, którego obojętność w kwestiach religijnych była zgorszeniem dla całego miasta. Po krótkiej zwłoce zaprowadził go do swego gabinetu w sąsiedztwie kaplicy, posadził na wygodnym fotelu i stojąc przed wesołym ogniem kominka, prosił, aby mu wyłożył cel swej wizyty.

Z początku pan Fotheringay był nieco zmieszany i nie wiedział, od czego zacząć.

— Pan może mi nie zechce wierzyć, panie Maydig... ja się boję... — i tak dalej przez pewien czas.

W końcu postawił dowiedzieć się, co pan Maydig myśli o cudach.

— Sądzę, że pan nie wierzy — dodał — żeby człowiek na stanowisku podrzędnym, jak ja, na przykład, siedzący teraz oto w tym fotelu, mógł posiadać w sobie rodzaj tajemniczej potęgi, która mu pozwala czynić rzeczy nadzwyczajne, jedynie za pomocą siły woli.

— To możliwe — rzekł pan Maydig. — Są w tym rodzaju rzeczy możliwe.

— Jeżeli mi pan pozwoli użyć swobodnie jakiego przedmiotu z tego pokoju, to zdaje mi się, że mu potrafię tego dowieść doświadczalnie. Weźmy na przykład tę skrzynkę tytoniu. Chciałbym wiedzieć, czy to, co ja z nią zrobię, jest cudem, czy nie. Proszę dać mi tylko chwilę, panie Maydig.

Zmarszczył brew, wyciągnął rękę ku skrzynce z tytoniem i rzekł:

— Stań się wazonem fiołków!

Skrzynka tytoniu w jednej chwili stała się tym, czego żądał cudotwórca.

Na widok tej przemiany pan Maydig podskoczył gwałtownie, a spojrzenie jego błądziło chwilowo od gościa do wazonu. Zaniemówił zupełnie. Nagle zdecydował się, podszedł do stołu, nachylił się i powąchał kwiaty. Były zupełnie świeże i bardzo piękne. Potem duchowny ze zdumieniem patrzył na Fotheringaya.

— Jak pan to zrobił? — pytał.

Pan Fotheringay zaczął kręcić wąsa.

— Rozkazałem... i oto... Czy to cud, czy czarna magia, czy co? Cóż pan sądzi jest we mnie? Oto, co chciałbym wiedzieć.

— Jest to wypadek nadzwyczajny.

— Tydzień temu jeszcze nie wiedziałem wcale, tak jak i pan, że mogę robić takie rzeczy. Jest coś osobliwego w mojej woli, jak przypuszczam — to wszystko, co w tym widzę.

— Czy *to* jedyna rzecz? Czy możesz pan zrobić jeszcze coś innego?

— Ależ tak, panie! — zawołał Fotheringay. — Wszystko, co zechcę.

Zamyślił się i przypomniał sobie przedstawienie, na którym był przed rokiem.

— Uwaga — rzekł, wyciągając rękę ku wazonowi — zmień się w szklany klosz dla ryb... nie, nie to... zmień się w akwarium pełne wody ze złotymi rybkami, to lepsze. Czy widzisz, panie Maydig?

— To zdumiewające, to nieprawdopodobne! Albo pan jesteś najosobliwszy z... Ale nie...

— Mogę i to zmienić w co zechcę — powiedział pan Fotheringay — w co zechcę. O, stań się gołębiem, dalej!

W tej samej chwili siny gołąb zaczął fruwać po pokoju, zmuszając pana Maydiga do ciągłego pochylania się.

— Zatrzymaj się! — i gołąb stanął nieruchomy w powietrzu.

— Mogę go zmienić na nowo w wazon kwiatów — rzekł.

I posadziwszy gołębia na stole, wykonał cud zapowiedziany.

— Może by pan chciał teraz zapalić fajkę?

I na nowo przywrócił skrzynkę z tytoniem.

Pan Maydig śledził wszystkie te ostatnie zmiany w zupełnym oszołomieniu. Bojaźliwie patrzył na pana Fotheringaya, bardzo delikatnie wziął w rękę skrzynkę z

tytoniem, sprawdził, czy to rzeczywiście ona, i postawił na stole.

— No, no! — było to jedyne wyrażenie, jakie znalazł dla swych uczuć.

— Teraz nic łatwiejszego, jak wyjaśnić panu, dlaczego tu przyszedłem.

Fotheringay opowiedział długą i skomplikowaną historię swoich dziwnych doświadczeń, zaczynając od lampy pod *Long Dragon* i kłopotliwie wspominając przygodę z Winchem. Gdy opowiadał swe dzieje, chwilowa duma, wywołana trwogą pana Maydiga zniknęła, i stał się znów pospolitym Fotheringayem, jakim był w życiu codziennym.

Pan Maydig słuchał uważnie, a twarz jego zmieniała się stosownie do momentów opowieści. Nagle, właśnie gdy Fotheringay opowiadał mu cud trzeciego jajka, duchowny przerwał mu szybkim ruchem ręki.

— To niemożliwe — rzekł — to nieprawdopodobne! To zdumiewające istotnie, ale to wyjaśnia wielką liczbę nadzwyczajnych trudności. Władza dokonywania cudów jest to dar, cecha wyjątkowa, jak geniusz albo wzrok podwójny. Aż do dziś spotykano ją rzadko i u ludzi wyjątkowych. Ale w tym wypadku... Zawsze dziwiłem się cudom Mahometa, cudom Yoghisów i Madame Błavatsky. Ale, ale.. Tak, to po prostu dar nadprzyrodzony! I to znakomicie wzmacnia argumenty tego wielkiego myśliciela — i tu głos pana Maydiga stał się unizony — Jego Wysokości Diuka Argylla. Tu jesteśmy wobec jakiegoś prawa

głębszego... głębszego niż prawo natury. Tak, tak — mów pan dalej! mów pan dalej!

Pan Fotheringay zaczął opowiadać swą przygodę z Winchem, a pan Maydig, który już nie był onieśmielony ani zatrwożony, zaczął nogami wstrząsać na prawo i na lewo i wydawał okrzyki zdumienia.

— To właśnie najbardziej mnie zaniepokoiło — mówił Fotheringay dalej — i dlatego potrzebna mi była natychmiastowa rada. Niewątpliwie jest on w San Francisco, gdziekolwiek jest San Francisco, ale oczywiście jest to przykre dla nas obu, jak to pan zauważy, panie Maydig. Nie wyobrażam sobie, jak on rozumie to, co się stało; zapewne jest przerażony i zrozpaczony i chce mnie odnaleźć. Bardzo być może, że ciągle w drogę wyrusza, aby przyjechać do nas, ale ja zawracam go na miejsce za pomocą cudu, myśląc o nim od czasu do czasu. I naturalnie jest to rzecz, której on nie rozumie i to go dręczy; oczywiście, jeżeli za każdym razem kupuje bilet kolei żelaznej, kosztowało go to już niemało pieniędzy. Robiłem co mogłem dla niego. Rozważyłem, skoro jego ubranie spaliło się i zniszczyło... zanim go stamtąd wydobyłem... pan wie, czy piekło jest takie, jak mówią. W tym wypadku, w tym stanie, przypuszczam, że może go w San Francisco wtrącili do więzienia. Naturalnie, zapragnąłem, aby miał na sobie nowy mundur, skoro tylko o tym pomyślałem. Ale widzi pan, jestem w położeniu ogromnie kłopotliwym...

Pan Maydig poważnie się zamyślił się nad tą sprawą.

— Widzę, że pan jest w kłopotcie. Położenie trudne. Jakżeby z tego wyjść?

I nic wyraźnego nie mógł powiedzieć.

— Co by nie było, dajmy pokój Winchowi i zbadajmy sprawę najważniejszą. Nie myślę, aby to była czarna magia lub coś podobnego. Nie zdaje mi się, aby w tym był cień intencji zbrodniczej, panie Fotheringay, najmniejszy cień, chyba, żebyś niweczył fakty materialne. Nie, to są cuda — czyste cuda, cuda, że tak powiem, w najrzadszym gatunku.

Chodził tam i z powrotem, przed kominkiem, gestykulując, gdy pan Fotheringay siedział w fotelu, oparłszy łokieć na stole, a głowę na dłoni i zdawał się być bardzo zafrasowany.

— Mając taki dar cudów, dar oczywiście potężny — mówił pan Maydig — znajdziemy sposób, by znaleźć Wincha, nie lękaj się pan... Drogi panie, jesteś osobą ważną, zdolną do możliwości najdziwniejszych, oczywistość to potwierdza; nadto, rzeczy, które możesz robić...

— Tak, myślałem o kilku rzeczach, ale one się ukazują tak jakoś na opak. Widział pan — tylko co — rybę... Fałszywy rodzaj basenu, fałszywy rodzaj ryby... A ja sądziłem, że wyraźnie określił, czego chciałem...

— To naturalne — rzekł duchowny — naturalne, bardzo naturalne...

Zatrzymał się i patrzył na Fotheringaya.

— Jest to dar praktycznie nieograniczony. Wypróbujemy tę władzę pańską, o ile można. Jeżeli ona

istnieje rzeczywiście... Jeżeli jest rzeczywiście tym, czym się zdaje być...

I jakkolwiek uważalibyśmy to za rzecz nieprawdopodobną, wieczorem w niedzielę 10 listopada 1896 roku pan Fotheringay, pod natchnieniem i kierownictwem pana Maydiga — zaczął w jego gabinecie wykonywać różne cuda. Specjalnie i z naciskiem zwracamy uwagę na tę datę.

Czytelnik zarzuci nam, jeżeli już nie uczynił tego, że pewne punkty tej historii są nieprawdopodobne, że gdyby fakty tego rodzaju odbyły się istotnie, toby o nich mówiono w owym czasie we wszystkich gazetach. Szczególnie zaś wyda mu się trudnym uznać fakty niżej podane, gdyż między innymi prowadzą one do wniosku, że on lub ona, czytelnik lub czytelniczka, musieliby w ten pamiętny wieczór zginąć w sposób gwałtowny i bezpowrotny. W dalszym ciągu tego zarysu wszystko to doskonale się wyjaśni i stanie się wiarogodnym, co uzna każdy rozsądny i inteligentny czytelnik. Jednak nie możemy w tym miejscu zakończyć tej historii, gdyż doszliśmy tu zaledwie do jej środka.

Z początku cuda dokonane przez Fotheringaya były to tylko bojaźliwe małe cudeńka na drobnych przedmiotach i cackach pokojowych, równie nikłe jak cuda teozofów, a mimo to przyjmowane z pełnym uszanowaniem lękiem przez ich współtwórcę.

Co do pana Fotheringaya, to ten chciałby z miejsca skończyć sprawę Wincha. Ale pan Maydig nie dopuścił do tego. Dokonawszy z tuzin różnych pospolitych cudów domowych, poczuli, że zmysł ich władzy rośnie;

wyobraźnia podnieca ich inwencję; wreszcie i ambicja się powiększa.

Pierwsze wielkie przedsięwzięcie zawdzięczali głodowi i niedbalstwu pani Minchin, gospodyni duchownego. Wieczera, którą pan Maydig przyjął panu Fotheringaya, była zapewne źle podana i niezbyt apetyczna dla obu pracowitych taumaturgów; ale oni siedzieli już przy stole i wielebny mówił ze smutkiem raczej niż z gniewem o niedbalstwie i zapomnieniach swej gospodyni. Nagle panu Fotheringayowi przyszło do głowy, że ma wyjątkową okazję.

— Czy nie sądziłby pan, panie Maydig, czy nie byłoby to niedyskretne, gdybym...

— Drogi panie Fotheringay, zapewne, nie, nie myślę...

Fotheringay przerwał mu gestem.

— Czegóż zażądamy? — pytał jako umysł szerszy, który staje od razu na wysokości zadania i podług wskazówek Maydiga, ułożył projekt nowej kolacji.

— Co do mnie — rzekł, przeglądając wybór pana Maydiga — to mam szczególną chęć na pół butelki stoutu i dobrą porcję królika — i to właśnie rozkażę. Do burgunda nie mam przekonania.

I oto z miejsca ukazał się stout i królik — na zawołanie.

Długo przesiedzieli przy wieczerzy, rozmawiając jak równy z równym, czemu Fotheringay był zdziwiony i za co był prawdziwie wdzięczny swemu towarzyszowi. Mówili o cudach, jakie zamierzali wkrótce wspólnie sprawić.

— Ale, panie Maydig, mógłbym może panu pomóc w kwestii spraw gospodarskich?

— Nie rozumiem dobrze — rzekł duchowny, nalewając sobie szklanę cudownego burgunda.

Fotheringay wyczarował sobie drugą porcję królika i z pełnymi ustami mówił:

— Myślałem sobie — *mlask, mlask* — że może mógłbym — *mlask, mlask* — zrobić cud z panią Minchin — *mlask, mlask* — i uczynić ją lepszą.

Pan Maydig postawił szklanę na stole i zdawał się niedowierzać.

— Ona jest... Ona nie lubi, gdy się kto miesza do jej spraw. Uważa pan, panie Fotheringay. I prawdę mówiąc, jest już po jedenastej i zapewne moja gospodyni leży już w łóżku i śpi. Czy myśli pan ostatecznie...

Pan Fotheringay zaczął zastanawiać się na tych obiekcjach.

— Czemu nie mamy zrobić tego w czasie jej snu?

Chwilowo pan Maydig opierał się temu, lecz potem ustąpił.

Fotheringay wydał rozkazy — i obaj panowie nieco mniej swobodnie niż przedtem, dalej spożywali wieczerę. Pan Maydig rozważał zmiany, jakich się spodziewał u swej gospodyni nazajutrz, z optymizmem, który nawet zdrowemu rozsądkowi najedzonego Fotheringaya wydawał się nieco przesadzonym, gdy szereg zmieszanych hałasów dał się słyszeć nad nimi.

Spojrzeni na siebie pytająco, a pan Maydig szybko opuścił izbę. Fotheringay wkrótce usłyszał jego głos:

duchowny wzywał gospodynię, a potem powoli wchodził na schody.

Po kilku chwilach wielebny powrócił lekkim krokiem, z twarzą promieniejącą.

— Cudowne! — rzekł — i wzruszające!
Niesłychanie wzruszające!

Zaczął tam i z powrotem chodzić koło komina.

— Skrucha, wzruszająca skrucha... poprzez drzwi.
Cudowna zmiana. Wstała. Musiała pewnie wstać natychmiast. Obudziła się, aby potłuc butelkę koniaku, ukrytą tajemnie w kufunku.

I wyznała to głośno. Ależ to nam pozwala... to nam otwiera najcudowniejsze widoki, cały pasaż możliwości. Jeżeli mogliśmy uczynić taką zmianę w niej...

— Rzecz zupełnie bez granic — rzekł Fotheringay — a co do Wincha...

— Zupełnie bez granic...

Wielebny stał przed kominkiem, a usunąwszy gestem trudną sprawę Wincha, zaczął rozwijać szereg cudownych pomysłów — pomysłów, które budziły się w jego wyobraźni w miarę jak mówił.

Co to były za pomysły, to nie należy do tej opowieści. Dość wiedzieć, że wszystkie one się opierały na bezmiernej życzliwości dla ludzi, dość wiedzieć też, że problemat Wincha został nierozwiązany. Również nie ma potrzeby opisywać, w jakiej mierze ten szereg cudów został urzeczywistniony. Losy tych cudów były zadziwiające.

Zaczynało już świtać, gdy obaj panowie jeszcze gawędzili, chodząc po rynku miejskim; błądzili po placu, jakby zlodowaciałym w promieniach księżyca — podnieceni szczególną ekstazą taumaturgiczną, pan Maydig podskakiwał wciąż i gestykulował, Fotheringay zaś, zgięty i najeżony, coraz bardziej się dziwował swej wielkości. Odrodzili wszystkich pijaków dzielnicy, zmienili wszystkie piwo i alkohol w wodę — do czego Maydig namówił pana Fotheringaya. Nadto wielce ulepszyli ruch miejscowej kolei żelaznej, osuszyli bagniska, podnieśli płodność gruntu wzgórz, otaczających miasto, i zniweczyli brodawkę na ręce duchownego. Teraz zamierzali zbadać, czy potrafiliby uregulować zepsutą groblę rzeczną.

— Miasto — mówił pan Maydig — będzie zupełnie niepodobne do siebie, a jakże wszyscy będą zdziwieni i wdzięczni!

Właśnie w tej chwili zegar kościelny wybił godzinę trzecią rano.

— Ale już trzecia — mówił pan Fotheringay. — Muszę wracać. Muszę być w biurze dziś o ósmej rano. A zresztą...

— Panie drogi, dopiero co zaczęliśmy — odparł mu wielebny, upojony wspaniałością tej potęgi bez granic. — Zaczęliśmy dopiero. Pomyśl pan, ile mamy jeszcze uczynić. Gdy się ludzie obudzą...

— Ależ — rzekł Fotheringay.

Naraz pan Maydig chwycił go za ramię. Oczy jego były płomienne i straszliwe.

— Drogi przyjacielu — rzekł — nic nie nagli.
Spójrzyj! — I wskazał mu palcem księżyc na zenicie.
— Jozue!

— Jozue? — zapytał pan Fotheringay.

— Jozue! — powtórzył pan Maydig. — Czemuż nie? Zatrzymaj!

Pan Fotheringay spojrział na księżyc.

— To gruba sprawa! — zauważył po chwili.

— Czemuż nie? — nastawał Maydig. — Zapewne księżyc się nie zatrzyma. Zatrzymasz tylko obrót ziemi, rozumiesz? Czas się zatrzyma. Nic złego nie zrobimy.

— Hm! — mruknął pan Fotheringay. — A zatem — westchnął — spróbujmy. Dalej!...

Zapiął surduty i zwracając się do zamieszkanego globu i zbierając wszelką ufność w swoją potęgę, zawołał:

— Przestań się obracać, hej, rozumiesz?

Jednocześnie uleciał w powietrze z szybkością kilkudziesięciu mil angielskich na minutę, przy czym to głowa to nogi szły w górę i na dół.

Pomimo niezliczonych kółek, jakie robił co sekunda, myślał; bo myśl jest cudowna — czasem tak powolna jak smoła co się toczy, czasem tak błyskawiczna jak światło. W jednej sekundzie pomyślał i zażądał:

— Niechaj się znajdę na ziemi zdrów i cały.
Cokolwiek się stanie, niechaj będę na ziemi zdrów i cały!

Był czas najwyższy, gdyż ubranie jego, rozgrzane szybkością lotu po powietrzu, już zaczynało płonąć.

Znalazł się też na ziemi po uderzeniu gwałtownym, lecz bynajmniej nie bolesnym ani szkodliwym dla jego ciała, wylądował na czymś — niby wzgórzu świeżo poruszonej ziemi. Masa ogromna metalu i murów, niezwykle podobna do wieży zegarowej na rynku, przeleciała nad nim i uciekała jak bomba, rzucając kamieniami, cegłą i tynkiem. Krowa jakaś, wirując w powietrzu, uderzyła o jeden z największych gładów i rozbiła się jak jajko. Był to trzask, wobec którego najokropniejsze huki jego minionego życia zdawały się szmerem spadającego piasku. Potem zabrzmiała gama coraz mniejszych huków. Potężny wicher ryczał w powietrzu i na ziemi — tak, iż Fotheringay zaledwie mógł podnieść głowę, by spojrzeć dookoła siebie.

Przez pewien czas był zanadto zmęczony i zanadto zdumiony, by próbować nawet się zorientować, gdzie się znajduje i co się stało.

Toteż pierwszym jego ruchem było dotknąć swej głowy i upewnić się, że jego włosy rozwiane od wiatru — to jego własne włosy.

— Panie! — zaledwie wybełkotał, gdyż wicher przeszkadzał mówić mu wyraźnie. — Co takiego mną wstrząsnęło? Co się tu dzieje! Huragan i gromy, a przecież przed chwilą była śliczna noc... To Maydig mnie namówił do jakiegoś głupstwa! Co za wicher! Jeżeli dalej będę się tak bawił, to może się zdarzyć katastrofa... Gdzież jest Maydig?... W jakim przeklętym bezładzie znajduje się tu wszystko!...:

Spojrzał dokoła siebie, o ile mu pozwalały latające poły surduta. Widok przedmiotów był istotnie dziwny.

— W każdym razie, niebo jest na swoim miejscu — powiedział Fotheringay do siebie. — Ono jedno jest na miejscu. A nawet i tam, zdaje się, niedługo wybuchnie jakaś wichura... Tylko księżyc nad moją głową, w tem samym miejscu, gdzie tylko co był, świeci jak słońce. Co do reszty... Ale gdzież jest miasto? Gdzie wszystko? I co za diabeł wywołał ten wicher! Ja go nie zamawiałem...

Czynił wielkie wysiłki, by stanąć na nogach, lecz na próżno, chwiał się i zrozpaczony siedział jakby na czterech łapach, uczepiwszy się ziemi. Spoglądał na krajobraz oświetlony promieniami księżyca, utkwivszy wzrok w stronę, skąd szedł wiatr, przy czym poły surduta ciągle powiewały mu nad głową.

— Na serio, coś się popsuło w świecie. Ale co to być może, łaskawe nieba, któż mi powie? Nic nie było widać w białym blasku, którym od księżyca świecił tuman kurzu, unoszonego przez rozszalałą burzę; tylko od czasu do czasu występowały walące się masy ziemi i pędzące gromady chaotycznych gruzów; ani drzew, ani domów, ani żadnych form zwykłych — tylko ogromna przestrzeń wywrócona do góry nogami, której widok niknął gdzieś w wirujących chmurach, a błyskawice i odgłosy gromów świadczyły o rosnącej nieustannie burzy. Obok niego, w niejasnym świetle leżała bezładna masa różnych kawałów drzewa na drzazgi rozbita aż do korzeni, a dalej gruz i pęki pogmatwanych sztab żelaznych — był to zapewne wiadukt — wydobywający się z jakichś chaotycznie nagromadzonych ruin.

Jak pamiętamy, kiedy Fotheringay powstrzymał krążenie globu, nie uczynił żadnego zastrzeżenia co do przedmiotów poruszających się wraz z powierzchnią planety. Ziemia zaś obraca się tak szybko, że jej powierzchnia na równiku pędzi z szybkością więcej niż tysiąca mil na godzinę, a w naszych szerokościach jeszcze o pół raza więcej.

W ten sposób małe miasto i pan Maydig, i Fotheringay, i wszyscy ludzie, i wszystkie rzeczy — rzucone zostały naprzód z szybkością koło dziewięciu mil na sekundę, to znaczy daleko gwałtowniej, niż gdyby zostały wystrzelone przez armatę.

I wszystkie istoty ludzkie, wszystkie stworzenia żywe, wszystkie drzewa, wszystkie domy i cały świat, jak go znamy, został rzucony w ten sposób — wywrócony do góry nogami — i po prostu zniszczony.

O tym wszystkim, oczywiście, Fotheringay nie wiedział i ściśle nie zdawał sobie sprawy z położenia rzeczy. Ale to zrozumiał, że ostatni cud był chybiony.

Wtedy obudziła się w nim straszliwa niechęć do cudów. Znajdował się teraz w ciemności, gdyż chmury się zebrały i chwilami zakrywały tarczę księżyca, a powietrze było pełne wielkich kulek gradowych, które uderzały o siebie i kręciły się w kółko. Wielki ryk wiatru i wody zapełniał niebo i ziemię — i nieszczęsny taumaturg, ochraniając oczy dłonią, dostrzegł poprzez grad i kurzawę — wielką ścianę wody, idącą ku niemu.

— Maydig, gdzie jesteś? — zawołał, przygłuszony wrzawą żywiołów. — Maydig! Na pomoc! Zatrzymaj się! — krzyknął do nadpływającej wody. — O, na

miłość boską, zatrzymaj się! Uciszcie się na chwilę! — rzekł piorunom i błyskawicom. — Przestańcie na moment, abym na nowo zebrał siły ducha! Co ja teraz zrobię? Co należy zrobić? O Boże, jakżebym chciał, aby tu był Maydig!... Już wiem — powiedział do siebie głosem stanowczym. — Wróci to wszystko na miejsce, jak było przedtem, przez miłość Boga, tym razem...

Stał oparty na rękach i nogach, z głową pochyloną ku wiatrowi, całkowicie zajęty sprawą przywrócenia rzeczy do porządku.

— Ach — westchnął. — Niechaj nic z tego, co rozkażę, nie stanie się, póki nie powiem: Raz — dwa — trzy!... O Panie, mogłem o tym wcześniej pomyśleć!

Zwrócił tedy swój głos przeciw trąbie powietrznej, krzycząc coraz głośniejszą w próżnej żądzy słyszenia własnych słów.

— Dalej! Uważać, co nakazuję! — Przede wszystkim niech stanie się to, co powiem! Oto niechaj utracę swą władzę robienia cudów; niechaj moja wola stanie się — jak wola wszystkich ludzi — i niech te wszystkie cuda się skończą. Mam ich już dosyć! Wolę ich nie robić! To zawsze jedno i to samo. I to jest pierwsza rzecz. A teraz druga: niechaj wrócę do tej właśnie chwili, w której miały zacząć się cuda. Niechaj wszystkie rzeczy staną się znów tak, jak były, zanim ta przeklęta lampa miała się odwrócić! Robota trudna, ale ostatnia. Czy zrozumiano? Dość cudów!... Niechaj wszystko będzie jak było... a ja w oberży *Long Dragon*, właśnie kiedy się zabieram do wypicia kufla porteru... Tego chcę! Tak niech się stanie!...

Wcisnął palce w ziemię, zamknął oczy i rzekł:
— Raz, dwa, trzy!

W jednej chwili wszystko się uspokoiło, a Fotheringay czuł, że znowu stoi na nogach.

— Więc to pan powiada — mówił jakiś głos.

Otworzył oczy. Znajdował się w barze *Long Dragon* i rozmawiał o cudach z panem Toddym Beamishem. Miał jakby niewyraźne poczucie, które się natychmiast rozprysło, o jakimś wielkim zapomnianym wydarzeniu.

Rozumiecie, że oprócz utraty potęgi cudotwórczej, wszystkie inne rzeczy były na nowo na swoim miejscu; a zatem jego umysł i pamięć były teraz zupełnie tam, gdzie były, gdy się ta historia zaczyna: w ten sposób, że nie wiedział nic o tym wszystkim, co tu zostało opowiedziane i nie wiedział aż do dziś nic z tego, co ja tu przedstawiłem. I między innymi, oczywiście, w dalszym ciągu nie wierzy w cuda.

— Mówię panu, że cuda, ściśle biorąc, nie dadzą się w żaden możliwy sposób wykonywać, cokolwiek by mi pan opowiadał. I gotów jestem tego dowodzić aż do ostatka.

— To tylko *pańska* opinia. Dowiedz pan, jeżeli możesz! — odpierał Toddy Beamish.

— Słuchaj pan, panie Beamish — wykladał Fotheringay. — Rozważmy jasno, co to jest cud. Jest to fakt przeciwny naturalnemu biegowi rzeczy i wykonany jedynie potęgą woli...

Herbert George Wells
Człowiek, który czynił cuda
Tytuł oryginału:
The Man Who Could Work Miracles

Redakcja: *Anna Ołdak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

FUNDACJA FESTINALENTE
Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-337-8

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl